

Adam
Michnik

Polska
i sąsiedzi
dwadzieścia
lat po

Adam Michnik

Redaktor naczelny „Gazety Wyborczej”, historyk, eseista, publicysta polityczny. W latach 1968–1989 jeden z czołowych organizatorów nielegalnej, demokratycznej opozycji. Po wydarzeniach marcowych 1968 skazany na trzy lata więzienia. W latach siedemdziesiątych działał w organizacjach opozycyjnych i współwydawał wiele pism drugiego obiegu. W latach osiemdziesiątych dwukrotnie aresztowany i zwalniany na mocy amnestii. Uczestnik obrad „okrągłego stołu” w 1989; członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Uehonorowany licznymi odznaczeniami i tytułami doktora *honoris causa*. Autor wielu głośnych publikacji i artykułów w czasopiśmie całego świata.

Tym razem zacznę od końca. Otóż przez ostatnie dwie dekady po raz pierwszy od nie wiadomo ilu lat Polskę łączyły dobre stosunki z sąsiadami i nie miała problemów z mniejszościami narodowymi. To prawdziwy ewenement w naszej historii, to złamanie swoistego kodu myślowego obecnego w polityce polskiej. Wystarczy przypomnieć choćby dwudziestolecie międzywojenne, kiedy te dwa elementy decydowały o naszej polityce zagranicznej i wewnętrznej, skutkiem czego mieliśmy wręcz fatalne stosunki z sąsiadami, no, może z wyjątkiem Łotwy, a mniejszości były źle traktowane i systematycznie dochodziło do konfliktów.

Oczywiście do pewnego stopnia było to także konsekwencją traktatu wersalskiego, który prawa mniejszości narodowych w Polsce (i w innych nowo powstałych państwach) gwarantował w sposób szczególny. To dyktowało ówczesnym liderom określony kurs polityki wewnętrznej, która z drugiej strony kształtowała się w ogniu sporu ideowego pod hasłem: Polska narodowa czy narodowościowa. I obóz Polski narodowej, czy też narodowej demokracji, formalnie walkę o władzę przegrał, za to wygrał walkę o rząd dusz.

Otóż dzisiaj Polska jest inna i inna jest jej sytuacja. Teraz jeżeli nawet stosunki z sąsiadami nie są takie, jak byśmy chcieli, to na ogół nie z naszej winy i nie w wyniku złej polityki Polski – z wyjątkiem dwuletniego epizodu rządów tzw. IV RP, kiedy cała polityka i retoryka rządu była nastawiona na wzbudzanie emocji antyrosyjskich, antyniemieckich i antyeuropejskich.

Zmiany w Rosji pokazują dość konsekwentną ewolucję: od słabego państwa pod kierownictwem prezydenta Borysa Jelcyna, który szukał związków z Zachodem i rzeczywiście wiele robił dla ułożenia relacji z sąsiadami europejskimi, do państwa Władimira Putina, który prowadził politykę pod hasłem „Rosja podniosła się z kolan i teraz Rosja będzie przemawiała innym językiem”. Oczywiście ta polityka musiała dojść do kresu i dzisiaj dla rosyjskich elit jest rzeczą dość oczywistą, że dalej tym kursem iść się nie da.

Rodzi się więc pytanie, jaki ma być ten nowy kurs. W istocie jest to pytanie o to, co kryje się pod szyldem „modernizacja”. Dlaczego Rosja zdecydowała się na nową politykę w stosunku do Europy Zachodniej i do Ameryki, ale także – i to jest może najbardziej spektakularne – w stosunku do Polski?

W Polsce ta zmiana kursu trafiła na fatalny moment. Nie chcę się tutaj zagłębiać w całą tematykę katastrofy smoleńskiej. Wszystko, co

ostatnio oglądaliśmy na ekranach telewizorów, te sprawozdania z Sejmu, to powtarzanie, że Rosja plunęła Polsce w twarz, że działania naszego rządu to największe zaprzaństwo narodowe w tysiącletniej historii Polski... – to wszystko w Rosji znosi się z podziwu godnym spokojem. Wedle mojego rozeznania w obyczajach rosyjskich i rosyjskiej polityce powinno to być wywołać falę bardzo ostrych antypolskich ataków – tymczasem nic takiego się nie pojawiło. Co oznacza, że to wyciszenie jest rezultatem odgórnej dyrektywy.

W internecie wygląda to już trochę inaczej. Wystarczy poczytać blogi tzw. gosudarstwienników, czyli wielkoroskich nacjonalistów typu Aleksandra Dugina. Ich ton jest zupełnie inny, znacznie ostrzejszy i nieprzyjemnie antypolski, ale jednocześnie – i to jest ciekawe – oskarżonym jest prezydent Dmitrij Miedwiediew. Zarzuca mu się zmianę polityki Putina i obarcza winą za dopuszczenie do tego, że Rosja jest obrażana.

Dlaczego Rosja zmieniała politykę wobec Polski? Chciałbym tutaj zwrócić uwagę na dwie tendencje. Po pierwsze, o czym wielokrotnie mówił i sam prezydent Miedwiediew, i ludzie z jego otoczenia – Władysław Inozemcow, Igor Jurgens czy Jewgienij Gontmacher – Rosja nie może się rozwijać wyłącznie w oparciu o naftę i gaz. Gospodarka rosyjska jest zacofana, niekonkurencyjna i na tej płaszczyźnie potrzebna jest modernizacja. A modernizacji bez Zachodu nie da się zrobić. Polska zaś może być trwałą przeszkodą w relacjach Rosji z Zachodem. Po drugie – i z taką opinią można się spotkać w otoczeniu premiera Putina – Polską nie należy się przejmować, sprawa Katynia natomiast powinna nam, Rosjanom, uświadomić, że cały nasz wielki kraj jest usiany rosyjskimi Katyniami. I musimy przełamać ten historyczny impas kłamstw czy przemilczania tych spraw, bo inaczej obróci się to przeciwko nam i ta prawda stanie się sztandarem opozycji antyputinowskiej czy antyprezydenckiej.

Można sądzić, że Rosja poczuła się pewniej po tym, co wydarzyło się na Ukrainie po porażce obozu „pomarańczowych” i dojściu do władzy Janukowycza. Stosuje on putinowskie metody rządzenia państwem, tyle że o wiele brutalniejsze. Putin na obecną sytuację w Rosji pracował przez sześć lat, Janukowycz robi to dużo szybciej, zachowując wszystkie podstawowe elementy putinizmu, a więc: rozbitcie opozycji, likwidację niezależnych instytucji typu Trybunał Konstytucyjny czy bank centralny, podporządkowanie niezależnych mediów, podporządkowanie wymiaru sprawiedliwości i, co najważniejsze, zastąpienie

normalnej polityki operacjami służb specjalnych. W moim przekonaniu to jest rdzeń putinizmu i tego pomysłu politycznego, który ma swoich zwolenników we wszystkich postkomunistycznych krajach Europy.

Co się za tym kryje?

Można spróbować znaleźć ten wspólny mianownik dla relacji polsko-ukraińskich czy polsko-białoruskich. Polska polityka znalazła się, można powiedzieć, w pułapce dobrej woli. Właściwie nie ma dzisiaj dobrego pomysłu, jak prowadzić politykę wobec Białorusi, bo wszystkie pomysły przegrały, wszystkie. Więc najpewniej przed nami kolejne ochłodzenie i czekanie na to, co będzie po Łukaszence.

Sprawa jest dość skomplikowana. Przed laty opublikowaliśmy w „Gazecie Wyborczej” artykuł niezującego już Marka Karpia, szefa Ośrodka Studiów Wschodnich. Karp pisał, że – paradoksalnie – Aleksandr Łukaszenka będzie tym prezydentem Białorusi, który umocni i ustabilizuje Białoruś jako niepodległe państwa – dlatego że wygrał wybory, w których wystartował pod hasłem „Do Rosji choćby na kolanach”, a jednocześnie nie zamierza być jeszcze jednym gubernatorem. Widać to wyraźnie na przykładzie Związku Białorusi i Rosji. Rachuby Łukaszenki były takie, że Jelcyn zostanie prezydentem, a on wiceprezydentem ZBiR-u i naturalną kolejną rzeczą przejmie schedę po Jelcynie i stanie na czele Związku. W końcu skoro wielkim Związkiem Sowieckim mógł rządzić Gruzin, to dlaczego ZBiR-em nie może kierować Białorusin?

Te nadzieje rozwiały się, kiedy Jelcyn na swojego sukcesora wyznaczył Putina. Okazało się wówczas, że konflikt z Kremlem przekłada się na działalność Łukaszenki na rzecz Białorusi niezależnej od Rosji, działalność, której tłem były wszystkie te awantury o gaz, o kanały przesyłowe, o ceny. Diagnoza Karpia okazała się więc prawdziwa.

Czy mamy problemy z Białorusią? Tam jest niezbyt liczna polska mniejszość narodowa, tymczasem był taki moment, moim zdaniem dość niebezpieczny, kiedy o polityce polskiej decydowały relacje Związku Polaków na Białorusi z władzami tego państwa. Wydaje mi się, że to niebezpieczny kierunek. Cała konstrukcja Karty Polaka w moim przekonaniu była bezsensowna, stanowiła próbę budowania tożsamości polskiej nie w kontekście europejskim, tylko etnicznym. Jak bardzo zła jest taka polityka, pokazuje przykład Węgier, o czym za chwilę.

Polska polityka wobec Ukrainy miała swój wspaniały czas za pomarańczowej rewolucji. Wtedy zarówno władze polskie, rząd, jak też opozycja i prezydent Aleksander Kwaśniewski zdali na piątkę egzamin z odpowiedzialności za własny kraj, za sąsiadów, za Europę. Później,

już nie z naszej winy, okazało się, że Ukraina powtarza cały ciąg polskich zdarzeń sprzed dwudziestu lat, poczynając od wojny na górze w obozie zwycięskich demokratów, co w konsekwencji doprowadziło do przegranych wyborów.

W Polsce to się zaczęło od wojny Wałęsy i obozu Mazowieckiego i skończyło się podobnie: w 1993 roku wybory wygrał SLD, a w 1995 prezydentem wybrano Kwaśniewskiego. Tyle że nasz postkomunistyczny SLD przepracował całą lekcję uczestniczenia w demokratycznym państwie, w parlamentarnej demokracji, w gospodarce rynkowej i stał się formacją, która w pełni zaakceptowała te reguły gry, jak również zaakceptowała zasadniczy kurs polityki Polski – na Zachód, na NATO i na Unię Europejską. Z Ukrainą było inaczej, tam ani „pomarańczowi” nie mieli poziomu odpowiedzialności ówczesnego polskiego obozu postsolidarnościowego, ani też obóz Janukowycza nie miał polityków o takim poczuciu odpowiedzialności jak Aleksander Kwaśniewski, Włodzimierz Cimoszewicz, Leszek Miller czy jeszcze inni.

Krótko mówiąc, kompromis zawarty w Polsce przy „okrągłym stole” owocował tym, że późniejsze konflikty nie były tak drastyczne, że zawsze jakoś je rozwiązywano czy wygaszano przez szukanie i znajdowanie kompromisu. Dziś to wygląda trochę inaczej i chyba rzeczywiście pierwszy raz od 1989 roku mamy wewnętrzny kryzys, który przypomina zimną wojnę domową.

Jeśli chodzi o Litwę, to można powiedzieć, że była naszym sąsiadem uprzywilejowanym, cieszącym się w Polsce ogromnym, historycznym sentymentem. Ostatnio jednak stosunki polsko-litewskie zaogniły się, i to nie tylko dlatego, że polscy politycy są zirytowani tym, iż przez dwadzieścia lat żadna z obietnic litewskich w sprawie mniejszości, pisowni nazwisk etc. nie została dotrzymana. Pojawił się taki trend, że trzeba Litwie dać po łapach. To jest zrozumiałe, ale to niebezpieczna gra, ponieważ każda destabilizacja i wszelkie wzmacnianie konfliktów w tym regionie musi obrócić się przeciwko rozwiązaniom demokratycznym.

Z Niemcami Polska ma stosunki dobre lub bardzo dobre. Trzeba jednak pamiętać, jak łatwo uruchamiają się mechanizmy resentymentów, zwłaszcza po naszej stronie. Wystarczyła jedna demagogiczna akcja Eriki Steinach, postaci przecież peryferyjnej w polityce niemieckiej, jedno zręczne dotknięcie bolesnego miejsca pamięci polskiej, żeby wprost eksplodowała u nas nowa fala nastrojów antyniemieckich. A kiedy jeszcze dostojnik państwowy na spotkaniu pod Szczecinem

mówi: „Tu była Polska, jest Polska i będzie Polska”, to stwarza coś, co jest niebezpieczne – poczucie zagrożenia ze strony obcych, Niemców.

Z Czechami i ze Słowakami stosunki mamy tyleż dobre, co marginalne. Dlatego uważam, że ogromne znaczenie mają działania takich instytucji jak kierowane przez profesora Jacka Purchlę Międzynarodowe Centrum Kultury, które jest nastawione na budowanie trwałych więzi z Czechami i w ogóle z sąsiadami – to akcja długofalowa i nie do przecenienia.

Nad tym wszystkim oczywiście unosi się myśl Jerzego Giedroycia. Wszystkim się wydawało, że Związek Radziecki będzie trwał wiecznie, a Giedroyc nie tylko przewidywał jego rozpad, ale i widział jasno ciąg dalszy. Bardzo dobrze pamiętam rozmowę z nim, to był rok 1976, kiedy powiedział mniej więcej tak: „Związek Radziecki nieuchronnie się rozpadnie i wtedy uważajcie, nie sięgajcie po Wilno i Lwów i nie domagajcie się tego, bo taki właśnie będzie moskiewski scenariusz bałkanizacji Europy Środkowej”. To był wielki wizjoner, a ja patrzyłem na niego trochę jak na człowieka z księżycy. Jaki rozpad Związku Radzieckiego? On też tłumaczył nam, że Polska nie graniczy z Rosją, tylko z Ukrainą, Litwą, Białorusią. To była ta idea ULB, którą upowszechniał w dwugłosie z Juliuszem Mieroszewskim. To był ten inny realizm.

Ta polityka jest dzisiaj zagrożona z dwóch stron. Z jednej strony przez dynamikę sytuacji w tamtych krajach, która jest niedobra dla nas, po prostu niedobra. Z drugiej strony przez dynamikę sytuacji u nas, kiedy polska opinia publiczna poddawana jest terapii szokowej, jeśli chodzi o rozbudzanie hysterii zagrożenia.

Niedawno w parlamencie lider opozycji mówił, że Polacy często tracili wolność, ale nigdy godności, a teraz utraciliśmy godność, a jutro możemy utracić wolność. Otóż to jest retoryka strachu i oczywiście jest ona absurdalna, ale trafia w nasze historycznie zakorzenione poczucie krzywdy, poczucie bycia oszukany. Wszystko to źle służy racjonalnemu myśleniu o przyszłości. Mam poczucie, że w debacie publicznej przekroczone zostały wszelkie miary, że już nie ma słów, które by kimkolwiek wstrząsnęły. Wszystkie zostały splugawione i pozbawione sensu.

Niemniej jednak w pierwszym okresie po roku 1989 fundamentalne kierunki polityki w naszych krajach były jasne. W Polsce z jednej strony była to reforma ustrojowa, przemiana dyktatury w demokrację parlamentarną, w państwo prawa. Z drugiej chodziło o odzyskanie suwerenności, o przekształcenie niesuwerennego członka Układu

Warszawskiego i RWPG w państwo suwerenne, które z własnego wyboru chce przynależeć do Paktu Atlantycznego i do Unii Europejskiej. Wreszcie była to bardzo trudna transformacja ekonomiczna, która musiała przekształcić system nakazowo-rozdziałczy, gospodarkę centralnie sterowaną w gospodarkę rynkową opartą na kreatywności i prywatnej własności. Ta transformacja okazała się skuteczna, tu można mówić o sukcesie.

Rzecz by można, że nasze kraje przekroczyły Rubikon, jedne szybciej, inne wolniej. I teraz rodzi się pytanie, do jakiego portu chcemy zawinąć. Co dalej? Do tego dochodzi swoiste zmęczenie reformami i znudzenie demokracją. Ten mechanizm powtarza się we wszystkich krajach postkomunistycznych. Najostrzej przejawia się to w Rosji, gdzie gospodarka rynkowa znaczy tyle co korupcja, złodziejstwo, prywatyzacja znaczy: przechwycić to, co było własnością państwa, a parlamentaryzm to gadulstwo i awantury. Tak na to patrzy przeciętny rosyjski zjadacz chleba i jemu podoba się Putin, ponieważ ustabilizował sytuację w państwie, pogonił oligarchów, a zawsze jest przyjemne, gdy obrywają bogaci i potężni. Poza tym Putin przywraca społeczności rosyjskiej poczucie mocarstwowości: z nami muszą się liczyć, nas trzeba szanować, nas nie można lekceważyć.

To samo widać na Litwie. W czasie debaty zorganizowanej w parlamencie litewskim mówiono: „Polacy nie będą nam dyktować, jakie mamy mieć litery w alfabecie, a poza tym niech przeproszą nas za marsz Żeligowskiego na Wilno”. Słuchałem tego jak bajki o żelaznym wilku. Poważny historyk twierdził, że nasza granica wschodnia, a zachodnia Litwy, z polskiego punktu widzenia nie jest ostateczna. Na jakiej podstawie wyciąga się takie wnioski – zapytałem. I usłyszałem w odpowiedzi, że na podstawie mojego tekstu. Mojego tekstu? Którego? Okazuje się, że w 2008 roku w Warszawie podczas konferencji „Sajudis – Solidarność; początek strategicznego partnerstwa” powiedziałem, że wschodnia granica Polski jest równie niezmienna, jak zachodnia. Historyk litewski mówi więc: No dobrze, ale zachodnia może się przecież zmienić. Jak zachodnia, to i wschodnia.

To jest ten rodzaj dialektyki, którego normalny człowiek nie jest w stanie ogarnąć. Poruszyło mnie to, bo z tym litewskim absurdem nie byłem oswojony, ale z przerażeniem zauważyłem, że kiedy słyszę podobne idiotyzmy w Polsce, to na mnie właściwie nie robią już wrażenia. I to jest bardzo niebezpieczne. Oswoić się z absurdem to w efekcie pozwalać na absurd, tolerować absurd i nie zwalczać go.

Co byśmy powiedzieli, gdyby nas zapytano, o czym marzą Władimir Putin, Viktor Orbán, Wiktor Janukowycz, Aleksandr Łukaszenka, o czym marzy Jarosław Kaczyński? Jest jeden kraj, na który patrzę z rozmarzeniem, z wiarą, miłością i nadzieją. To Chiny. Kraj, który w ciągu dwudziestu lat osiągnął fantastyczny sukces ekonomiczny, to jest niebywałe, każdy, kto tam był, musi być oszołomiony. Kraj, który wypracował sobie fantastyczną pozycję międzynarodową, który trzyma łapę na amerykańskich pieniądzach, który inwestuje w Afryce, nawet Hugo Chávez, który śpi i budzi się na ropie naftowej, wie, że właśnie Chiny, Singapur to jest to, o czym się marzy.

I teraz rodzi się kolejne pytanie, na które odpowiedzi nie mam, ale chcę je wyartykułować, bo to mnie trapi, dręczy. Czy ten autokratyczny zwrot w Europie Środkowej i Wschodniej może doprowadzić do tego, że uformuje się tutaj system na wzór modelu chińskiego?

Widzimy, co się dzieje w Budapeszcie, gdzie mój dobry znajomy Viktor Orbán zachowuje się tak, jak w ostatnim okresie komunistycznych rządów nie śmiał się już zachowywać János Kádár, to znaczy, posiadając zdecydowaną większość w parlamencie, po prostu niszczy, dławi zasady demokracji, węgierskiego państwa prawa, aż po kneblowanie mediów elektronicznych włącznie. Dodajmy to, się dzieje w polityce ekonomicznej – tu nie jestem ekspertem, ale wedle kompetentnych opinii nie ma to nic wspólnego z polityką państwa w warunkach gospodarki rynkowej.

Porozmawiajmy z ludźmi analogicznej orientacji w Rumunii, w Bułgarii, w Słowacji – że wspomnę tu o Robercie Fico, liderze najsilniejszej partii słowackiej... W Republice Czeskiej sytuacja jest nieco inna, ale nie należy zapominać, że to Václav Klaus ogłasza całej Europie, iż nie ma nic gorszego niż Unia Europejska i że trzeba z niej uciekać jak najszybciej.

Krótko mówiąc, jeżeli spojrzymy z perspektywy dwudziestu lat na to, co się stało w naszym regionie, odpowiedź musi być złożona. W Polsce trwa spór, czy żyjemy w Rywinlandzie, Ubekistanie, kondominium niemiecko-rosyjskim, gdzie szerzy się putinizm, czy też żyjemy w państwie, które przez ostatnie cztery stulecia nie miało tak dobrych dwudziestu lat jak te ostatnie. Oczywiście ja odpowiadam, że to drugie. Z czego naturalnie nie wynika, że ten polski sukces nie jest zagrożony. Jest, i to w paru miejscach. Na pewno realnym zagrożeniem jest polityka „orbanowska”; ale też trzeba się zastanowić, co doprowadziło do tego, że Orbán tak miażdżąco zwyciężył

w wyborach. I z tego punktu widzenia trzeba dzisiaj analizować politykę naszego rządu.

W zasadzie jestem obrońcą rządu, bo uważam, że jest najlepszy z możliwych. Nie znaczy to, że akceptuję każde jego posunięcie czy nie dostrzegam drastycznych potknięć. Przykład pierwszy z brzegu: sytuacja w kolejnictwie. Zatłoczone dworce, niefunkcjonujące rozkłady jazdy, pociągi widma i brak jakiegokolwiek projektu naprawy. Przykład drugi: jeżeli prawdą jest to, czego się dowiadujemy teraz o przeszkoleniu pilotów, o ich przygotowaniu do lotów, to dlaczego po katastrofie samolotu CASA, w której zginął kwiat dowództwa polskich sił lotniczych, zmiany nie nastąpiły? Minister powiada, że wydał decyzję. Ale ja nie potrzebuję ministra, który wydaje decyzję, potrzebuję ministra, który potrafi wdrożyć tę decyzję.

Scenariusz autorytarny jest w pełni realny i trzeba tę możliwość traktować bardzo serio. Nie chodzi więc o ślepą aprobatę dla wszystkiego, co robi rząd, lecz raczej o konstruktywną krytykę, podejmowaną w przekonaniu, że nie ma żadnej demokratycznej alternatywy dla obecnego układu sił. W moim przekonaniu powinien to być ten rodzaj krytyki, który uprawia Leszek Balcerowicz. Zamiast wskazywać, na kogo głosować, mówi, jakie rozwiązania powinny być negocjowane i jakich decyzji one wymagają.

Oczywiście nad każdym krajem naszego regionu wisi niebezpieczeństwo autorytaryzmu, populizmu, nacjonalizmu. U nas ma to odrębny kontekst, bo mimo słabnięcia katolicyzmu w Polsce, na co wskazują wszystkie statystyki, łącznie z kościelnymi, wciąż jesteśmy krajem najpotężniejszego Kościoła katolickiego w tym regionie i w Europie. Nasuwa się więc pytanie, jakie wobec tych wszystkich zagrożeń będzie stanowisko Kościoła. Nawet bowiem osłabiony procesami sekularyzacyjnymi, w tej sprawie może odegrać rolę decydującą. Opinia katolicka jest podzielona i nie wiadomo, czy zwycięży duch, mówiąc metaforycznie, o Ludwika Wiśniewskiego czy o Tadeusza Rydzka.

Chcę wierzyć, że wszystkie zagrożenia, o których tu mówiłem, są do przewyciężenia. Jako pilny czytelnik Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina wiem, że nie ma żadnej konieczności historycznej, to nie żadne prawo ciężenia. Temu można się przeciwstawić, to jest dla mnie ogromnie ważne. Ale jednocześnie według mnie właśnie teraz są rozdawane karty na długą rozgrywkę i tym, czego się panicznie boję, bo zawsze toruje to drogę rozwiązaniom autorytarnym, jest

korupcja. To rak, który zżera demokrację, nie tylko w Europie Środkowej i Wschodniej.

Wiele lat temu Richard Weizsäcker, prezydent ówczesny Republiki Federalnej Niemiec, powiedział zdanie, które zapamiętałem na resztę życia: „Jeśli chcesz wiedzieć, co grozi europejskiej demokracji, spójrz na Berlusconi”. Berlusconi to jest choroba, na którą zapadają europejskie demokracje. I mogą na tę chorobę umierać. Melanz putinizmu z berlusconizmem – to jest nasz środkowoeuropejski koktajl Mołotowa.

Pierwszy raz w życiu miałem okazję słuchać Berlusconi na żywo we wrześniu 2010 na forum w Jarosławlu, gdzie przyjechał na zaproszenie prezydenta Miedwiediewa. Siedziałem obok profesora Adama Rotfelda. Spoglądaliśmy na siebie i zastanawialiśmy się, gdzie właściwie jesteśmy. Czy to dom wariatów? Kabaret? Program satyryczny? Wywód Berlusconi brzmiał mniej więcej tak: Słyszę głosy rosyjskich historyków, ekonomistów, socjologów, publicystów, że w Rosji nie ma demokracji. Otóż zapewniam, że w Rosji jest demokracja – powiedział mi to Władimir Putin, a dzisiaj potwierdził mój przyjaciel Dmitrij Miedwiediew. My we Włoszech też mamy demokrację, ale niedoskonałą, myśmy sobie ciągle jeszcze nie poradziła z sądami i sędziami, którzy przeszkadzają nam rządzić, stawiają zarzuty, wszczynają jakieś śledztwa... Zamierzamy z tym skończyć i w tej kwestii bardzo ważne są dla nas doświadczenia rosyjskie.

Na zakończenie chciałbym jeszcze wrócić do Chin. Latem 2010 roku uczestniczyłem w forum „Europa – Chiny”, organizowanym głównie przez Francuzów. Pojechałem tam z Heleną Łuczywo na zaproszenie współtwórcy tej imprezy, byłego premiera Francji Michela Rocarda.

Pierwszego dnia tłumaczka jednej z moich książek (wydanej w Chinach w drugim obiegu), a zarazem profesor uniwersytetu, zorganizowała spotkanie, w którym uczestniczyło około czterdziestu osób, dysydenci, adwokaci, prawnicy itd. A następnego dnia rano wziąłem udział w dyskusji w jakiejś partyjnej szkole nauk społecznych.

Ogarnęło mnie z lekka schizofreniczne, dobrze znane uczucie z dawnych lat. Kiedy przyjeżdżał do Polski zachodni dziennikarz, rano szedł do redakcji „Polityki”, żeby spotkać się z Mieczysławem F. Rakowskim, później szedł do KC, gdzie go przyjmował zastępca kierownika działu zagranicznego, potem jeszcze do MSZ, gdzie przyjmował go dyrektor stosownego departamentu, a po obiedzie wsiadał do samochodu, jechał do Jacka Kuronia albo do mnie i myśmy mu

opowiadali, co się naprawdę w Polsce dzieje. Otóż w Chinach działał ten sam mechanizm, pękła bariera strachu. Mimo że Liu Xiaobo aresztowano, że dostał bardzo wysoki wyrok, a po jego Noblu zamknięto granice, nikt się już nie boi. Ludzie mówią to, co myślą.

Zastanawiam się, czy wraz z rozwojem gospodarki w społeczeństwach tych tygrysów azjatyckich następuje przyrost świadomości i potrzeby wolności? Na to pytanie nie ma gotowej odpowiedzi, ale ja oczywiście jestem po stronie wolności.